

Miejska Biblioteka Publiczna
im.
M. A. Asnyka
w Kaliszu

ŚWIT PISMO MŁO DZIEŹY SZKOLNEJ



NAKLADEM • BRATNIEJ
POMOCY • UCZNI • GIMN • IM
T • KOSCIUSZKI • W KALISZU

№ 5-6

Styczeń—Luty 1932

ROK VIII.

Cena 40 gr.



SPIS TREŚCI:

M. Wojciechowski: Odprawa „Sztubaka”. — Rozstrzygnięcie III konkursu literackiego. — J. Zarnecki: Pochwała życia. — Odette Michard: Oda do czasu. — E. Zieliński: Ostatni skok. — Wiesław Laskowski: Bezrobotni. — Sven Lais: Wiosna. — Kryspin Ch.: Przygody pana Fitulskiego. — Sven Lais: Słoneczny dzień. — J. Rączkówna: Zwinięta karjera poetki. — Ludomir Korczewski: Tomasz i S-ka.

Okladka projektowana przez art.-graf. T. Kulisiewicza.

SWIT

PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Nr. 5-6.

Kalisz, styczeń - luty 1932.

Rok VIII

M. Wojciechowski: *Odprawa „Sztubaka”*

Aż dotąd „Swit” nie zwracał żadnej uwagi na dziwne i niezrozumiałe wycieczki „Sztubaka”, skierowane bądź w stronę „Switu”, bądź też wogóle w stronę uczniów jego szkoły. Może sądził, że to minie. Tymczasem jeszcze jeden artykuł numeru styczniowego stara się godnie spełnić zadanie, jakie sobie redaktorzy „Sztubaka” postawili. Artykuł podpisany przez A. Według A. próba połączenia się swego czasu dwóch szkół celem wydawania „Switu” — „rozbiła się o opór czynników wyższych z jednej strony, a drugiej — przez sam charakter „Switu”. Miesięcznik ten miał zastygłe łożysko, w którym toczyły się spokojne „poważne” fale referatów, sprawozdań z przeróżnych uroczystości, sprawozdań wyczerpujących nie tyle temat, ile czytelników, wypracowań szkolarskich, zawsze podług jednej modły ocukrzonych i mdłych, górnych i dalekich od rzeczywistości sztubackiej. „Kaliniarczycy” zaś nieśli ze sobą prąd nowy, którego znamięm była nieskrępowana zbytnią cenzurą wolność wypowiedzania swych rzeczywistych myśli, uczuć i pragnień. Ramy „Switu” były dla nich oczywiście za ciasne. Pismo, które widzieli oczyma duszy, miało być z gruntu inne”.

Więc najpierw: Nieprawdą jest, aby próba połączenia rozbiła się z jakiejś drugiej strony przez sam charakter „Switu”, natomiast prawdą jest, że nie udało się jedynie przez sprzeciw władzy, który zresztą nie był pozbawiony pewnych podstaw.

Palec, z którego wyssano ten drugi powód, radzę postawić w spirytusie na „biurku” redakcji „Sztubaka”.

Nie na wszystko odpowiem, albowiem godzę się ze spostrzeżeniem, które kiedyś uczynił także jeden z redaktorów „Sztubaka”: „keine Antwort ist auch Antwort”, za to dam jeszcze jedną radę: Wy róbcie swoje i my róbmy swoje — tutaj to będzie pewno najlepsze. Kto inny będzie rozstrzygał, które pismo swe wychowawcze zadania spełniało — czy to z owym „zastygłym łożyskiem”, jak chce autor, czy to z „prądem nowym, którego znamięm i t. d.”.

Chociaż my mamy również chęć wypowiedzieć swobodniej rzeczywiste swe myśli, uczucia i pragnienia, to jednak wszystko to poświęcamy dla lepszych celów, a w każdym razie poświęciliśmy często — gdy lojalnie przyznam, że ostatnimi czasy „Swit” trochę odstąpił od wytkniętej drogi (choć nie bez pewnych wyjątkowych przyczyn).

A teraz te śmieszne i b. dziecinne utarczki „Sztubaka” na temat: Moja szkoła lepsza i t. p. — jak pewnie czytelnicy spostrzegą, żywo przypominające ucznia I. klasy. A kiedy się pomyśli, że to pisał może uczeń klasy ósmej i pewno wziął maturę!... — np.: „spozstrzegłem z rozczuleniem, że sezon wiosenny na „żaby” jest w punkcie kulminacyjnym, a mimo to „buraki” biją je na każdym polu. Np. w „tańcach” — i jeszcze kilka bardzo, a bardzo dowcipnych zdań na ten temat (Nr. 6, 3 — r. I). No, czyż to nie przypomina pierwszoklasistę? Czy to nie wszystko jedno, jaką czapkę się nosi? Nie bądźmyż dziećmi!

Skończywszy z właściwym tematem mojej „Odprawy” zrobię jeszcze jedno spostrzeżenie: jak wiele redaktorom „Sztubaka” zbywa na grzeczności i wymaganej ogólnie skromności (np. Nr. 6, I r., str. 1 i 28 przy wymienianiu szkół). Otóż człowiek, któremu tych przymiotów nie brak, wymieniając innych i siebie, wymieni siebie napewno na końcu, wymieniwszy wprawdzie innych. Może to i błahe, ale napewno wywoła pewien niesmak, a tembardziej już w piśmie.

Rozstrzygnięcie

III konkursu literackiego „Świtu”

Ogółem na konkurs nadesłano 26 prac — w tem 19 utworów beletrystycznych i 7 — wierszowych. Przy pierwszym głosowaniu (zastosowano system punktowy) wyróżniono następujących prace: Skarb (pseud. „Ku-ku”); Ostatni Skok (pseud. „Eg”); Pochwała życia (pseud. „Jeż”); Poemat sentymentalny (pseud. J — 18); Niewytłumaczona zagadka (ps. Fatum); Bezrobotni (ps. Wiesław) oraz List do nikogo (ps. „Półczłowiek”). W drugim głosowaniu wyeliminowano „List do nikogo”, oraz „Niewytłumaczoną zagadkę”. „List do nikogo” — aczkolwiek dobry w pomysłu i ujęty oryginalnie — niestety nie odpowiadał warunkom konkursu. „Niewytłumaczona zagadka” pozostała dla Jury zagadką co do tendencji i treści. Trzeciem głosowaniem przyznano: I nagrodę — „Pochwałę życia”, której autorem okazał się Jerzy Żarnecki. II nagrodę — noweli „Ostatni skok” — Eugenjusza Zielińskiego. III — „Bezrobotnym” — Wiesława Laskowskiego.

Pozatem autorami prac wyróżnionych okazali się: Jerzy Maciaszczyk — „Skarbu” i Jerzy Żarnecki — „Poematu sentymentalnego”. Usunięto z rozpatrywania nowelę: „Girls”, która ze względu na temat nie nadawała się do pisma szkolnego.

Co do konkursu wierszowego — to ten stanowczo nie dopisał jakością! Wszystkie siedem utworów okazały się słabymi — to też nie przyznano żadnej nagrody. Wyróżniono jedynie wiersz „Wiosna idzie” — Krystyna Chojnackiego.

J. Żarnecki: *Pochwała życia*

(Praca odznaczona I nagrodą)

Poświęcam przyjacielowi G. H.

Marek Ligęza szedł chwiejnym krokiem z tłumem, który jak wartki prąd gdzieś szumiąc, pędził.

Nie czuł już głodu do niedawna skręcającego wnętrzości i do młodości doprowadzającego, ni buntu, co zrywał się w nim na wspomnienie zawiedzionych marzeń, rozczarowań.

Wszystko stało mu się apatycznym, bezwartościowym, bezbarwnym.

Z głową zwieszoną szedł Marek przed siebie, nie zwracając uwagi, że już ludzi wkoło niego nie było, że zamiast gmachów wielopiętrowych — małe, brudne domki przedmieścia.

Minąwszy wreszcie ostatnie zabudowania wlec się począł naprzecią polem, hen — przed siebie...

Zmierzch już był, gdy wreszcie zdrętwiałe nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zwalił się ciężko na ziemię i coś, jak jęk czy westchnienie, ze spieczonych ust się wydobyło. Z pobliskiego stawu dochodziło go rechotanie żab... Próbował skupić myśl, lecz głosy te taki chaos w głowie jego czyniły, że nie umiałby sobie zdać sprawy kim jest i czy głosy te nie są krakaniem wron?...

Zapadł w odrętwienie.

Powoli myśl jego odzyskiwała zwykłą jasność i sprężystość. I zdał sobie doskonale sprawę z tego, że on, Marek Ligęza, musi zginąć.

Przed oczyma zaczęły mu się przesuwać obrazy minionego życia. Po bladej, wychudłej twarzy wpłynęły łzy — łzy już nie rozczarowania i zawiedzionej dumy, lecz łzy rezygnacji i smutku.

Był znowu małym chłopcem, znowu mieszkał w leśniczówce wuja (rodziców nie pamiętał wcale). Lata te zatrzymał mu syn wuja, Romek, który znęcał się nad „przybłądą” w sposób okrutny i wyrafinowany, nie dawał mu chwili spokoju. Uciekał więc Marek najczęściej do gęszczy leśnego, gdzie czuł się pewnie i spokojnie; przyroda była dla niego wszystkim, kochał ją.

Lata nauki były to ciągle poszukiwania i poznawania. Każdy problem go ciekawił; nie poprzestawał na powierzchownym badaniu, musiał poznać i zrozumieć istotę zagadnienia.

Zajmowała go przedewszystkiem literatura.

W toku tej pracy unikał ludzi. W każdym człowieku widział Romka z leśniczówki.

Wiedział, że ludzie patrząc nań, wymownie wzruszali ramionami, lub ironicznie się uśmiechali.

W tym kołowrocie pracy - poznawania błysnął promyk w duszy Marka, lecz stłumiony żarzył się odtąd odmiennie nieco.

Poznał dziewczynę, dla której zrodziło się w nim uczucie gorące i szczerze — miłość.

Lecz wkrótce przekonał się, że gorszym ona jest tyranem od Romka.

I z tego zawodu i nieufności do ludzi powstało w nim pragnienie upokorzenia ich. Do celu tego dążył odtąd wytrwale. Uczuł do ludzi taką nienawiść, że każde ich powodzenie ciosem dla niego było, każde załamanie — radością.

Nadeszły czasy uniwersyteckie.

Nie zapomniał Marek o swoim dawnym postanowieniu. Nosił zawsze tę myśl w sobie, rozmyślał, studiował, ścierały się w nim różne prądy.

Wreszcie znalazł formę pracy. Całymi nocami siedział teraz pisząc. Pisał „Pochwałę życia”, dramat, w którym wysmagał ostrą ironją całe ludzkie życie. Była to praca entuzjastyczna, w której wszystkie uczucia Markowe znalazły swój wyraz. Był to okres, w którym Marek sam siebie nie poznawał. Skąd u mnie ta siła, ta moc i pomysłów, ta nieprześcigniona forma. I przychodziła duma, wiara w siebie i swoją genialność.

Nadszedł wreszcie dzień ukończenia dzieła. Nie czuł Marek zadowolenia, ni dumy dawnej. Było mu źle, ciężko. Wziął się do czytania rękopisów. Litery skakały, mieszały się, wreszcie każda z nich przybrała postać Romka. Czuł okropny ból głowy i wreszcie spokój i ciemność...

Gdy zbudził się ze zdziwieniem, zobaczył, że jest w szpitalu; dowiedział się, że był chory na zapalenie mózgu.

Z powrotem do zdrowia powrócił dawny entuzjazm. Chciał wyjść na świat jak najprędzej, by zająć się wydaniem swego dramatu.

Minął wreszcie czas rekonwalescencji.

Zaraz na wstępie dowiedział się, że wuj umarł. Był więc bez grosza. Udał się do swego dawnego mieszkania, lecz tu spotkał go drugi cios: pokój, który wynajmował był już zajęty, a rękopisy zaginęły.

Przeciwności te nie osłabiły zapału Marka; postanowił mimo wszystko dopiąć swego.

Porzucił studia, wystarał się o małą posadkę na poczcie. Całe dnie przesiadywał przy okienku stemplując, licząc, pisząc.

Zato gdy wracał do swego mieszkania (mały, brudny pokój na poddaszu) — pisał na nowo. Praca ta przychodziła mu z łatwością. Przychodziły mu nowe pomysły, które wykorzystywał dla dramatu.

Wreszcie ukończył po raz drugi. Wiedział, że stworzył dzieło doskonałe.

To też z wielką pewnością siebie poszedł do znanego wydawcy z propozycją wydania swego dramatu. Lecz ten uprzedził Marka, że wydaje obecnie dzieła tylko znanych autorów, gdyż czasy ciężkie, książki nie idą...

Ostatecznie kazał przyjść za tydzień po odpowiedź.

Nigdy nie przypuszczał Marek, że z tej strony na takie trudności natrafi. Czekał więc na dzień oznaczony z niecierpliwością i lękiem. Minął tydzień. Marek blady, z gwałtownym biciem serca, niepewnie wszedł do gabinetu wydawcy.

— Rzecz naogół słaba, to jest — ma pewne plusy, owszem — ale... Ostatecznie zdecydowałem się wydać ten utwór, lecz co do pieniędzy... Lecz Marek swego procentu zrzekł się całkowicie.

Rozpoczęto drukowanie — Marek wieczorami przychodził do drukarni, robił sam korektę, dawał wskazówki zecerom.

Nie czuł nigdy zmęczenia.

Pewnego dnia przechodząc koło okna wystawowego księgarni — omal nie krzyknął.

Za szybą leżała książka, jego książka. Chciał ludzi zatrzymać i wołać by na nią patrzyli. Nie czuł do nich tej zwykłej pogardy, byli mu bliscy, kochani.

Długo stał przed wystawą nieruchomości...

W tydzień potem poszedł do wydawcy. Chciał mu podziękować, sam zresztą nie wiedział za co.

Lecz tu spotkało go zimne przyjęcie:

— Nikt nie chce książki kupować. I rację mają, teraz dopiero widzę jakie to są bzdury.

Wracał wolno Marek do domu. Szum w głowie zwiększał się. — Czyżbym się omylił — myślał — więc moje zdolności to fikcja, a moja książka to bzdury...

— Kry-y-tyki literackie! wrzasnął gazeciarz obok. Odruchowo kupił gazetę. Przeszedłszy do domu zaczął ją czytać. Czytał, nie interesując się zupełnie treścią. W tem przemienił się cały w wzrok. Czytał coraz prędzej, twarz stawała się coraz bledsza.

— Więc on, znany krytyk też, więc ja jestem głupcem...

Wstał, zamknął pokój, klucz oddał stróżowi i wyszedł.

Począł chodzić po mieście. Noc przesiedział w jakimś parku — w dzień znowu chodził. Ile dni tak spędził, nie zdawał sobie sprawy.

Raz przechodząc koło wystawy sklepu spożywczego uczył gwałtowny ból wnętrzości — głód.

Odezwał się instynkt samozachowawczy. Sięgnął Marek do kieszeni — pieniędzy nie miał. Powoli przychodził do siebie. Widmo rzeczywistości pognało go znowu przed siebie...

Teraz już jest całkiem spokojny.

— Stamtąd głosy żab, tam staw.

Chciał się dźwignąć, lecz sił zbrakło. Zdobył się na ostatni wysiłek: czołgał się. Przez głowę, nakształt błyskawic, myśli przelatują:

Marek... Ligęza... staw... żaby... staw.

W miesiąc potem nie było w stolicy dziennika, któryby nie zamieścił artykułu o niezwykłym powodzeniu sztuki M. Ligęzy, granej na scenach największych teatrów, o pochwałach krytyków i znawców dla tego niezmiernie głębokiego — wprost genialnego dzieła i o pobudkach, które skłoniły autora do napisania go: o wielkiej miłości do ludzi. Obok znajdowały się sensacyjne wiadomości o odnalezieniu zwłok tego genialnego człowieka, który umiłował ludzkość.

Odette Michard: Oda do czasu

*Czemuż Czasie kryjesz zazdrosne oblicze
maską mroku zastaniasz jutrzeńkę liljową?
w ogromie Twoim iesteśmy pyłkiem jeno—niczem
zagubionym w chmurze gradowej — — —*

*na skrzydłach wieków żeglujesz w błękitach
jak Sfinks nieodgadniony mijasz nasze krainy —
— wiodąc ku nowym źródłom, zakrytym
spojrzeniem wabisz — martwem i zimnym — — —*

*w godzinach szarych, gdy duszę mroczą smutki
zwiątpiałe serca radosną krzepisz pieśnią,
lecz kiedy chwile szczęścia przyjdą krótkie
nikniesz jak sen złoty, który się prześnił — — —*

*przez nasze małe zmartwienia i troski
mali — idziemy życiem — do bram wiecznych,
błądząc — próżno szukamy granic ostatecznych —
— zamknął je w sercach naszych wyrok Boski — — —*

Wolny przekład z francuskiego
Sven Lais.

E. Zieliński: Ostatni skok

(Praca odznaczona II nagrodą)

Słońce powoli wstawało, początkowo lekko zaróżowiło Giewont, Czarne Wirchy, roziskrzyło śnieg tysiącami djamentów, lekko poogłogawało z okiściami, mieniąc się tęczwami barwami, aż w końcu — ciękawie zajrzało do Zakopanego.

Zakopane wrzało... Kto żyw spieszył na Krokwie. To przebiegały żywo dzwoniące sanki, z wesoło znikającym góralem na koźle, to narciarz, chodniki przepelnione były ludźmi, dążącymi w jednym kierunku. Wielkie międzynarodowe zawody narciarskie na Krokwi, jakoby magnetyczną siłą, przyciągały rzesze publiczności. Tłum pod Krokwią rósł, zewsząd słychać gwar, na ustach wszystkich jest chluba i nadzieja sportu polskiego Jan Skolicz, który pierwszy raz miał wystąpić na zawodach międzynarodowych, pierwszy raz ma się zmierzyć z mistrzami europejskimi.

Wielkie rzesze publiczności z napięciem oczekują startu pierwszego skoczka... Gwar cichnie, gdzieś od góry rozlega się głos: Olaf Peterson, Norwegia, wszystkie oczy zwracają się ku górze. Skok, narciarz wypryska w górę, słychać furkot spodni, ląduje i z lekkim skrzypieniem śniegu, wśród okrzyków tłumu, zjeżeża na dół. Milknie gwar, aby za chwilę po usłyszeniu wyniku z jeszcze większą siłą wybuchnąć.

Znowu skok i znowu brawa i okrzyki, zmieniają się tylko: nazwiska, narodowości i wyniki. Niekiedy narciarz przewraca się, w największym pędzie koziołkuje, to spada czapka, to narta gdzieś w bok wyskoczy i wtedy zdaje się, że ten to chyba sam nie wstanie. Lecz gdzież tam, podnosi się znów, czasami może trochę kuleje, ale to nie przeszkadza mu skakać dalej.

Zdawało się, że Lingstroemen (Norwegia) skokiem 79 metrów stał się bezkonkurencyjnym, zdawało się, że szanse wszystkich zawodników na pierwsze miejsce upadły. Ale... Skacze Skolicz, piękny skok — co za odbicie, zdaje się, że fruwa, widzowie jakoby zamarli z podziwu i zachwytu, ląduje, publiczność wprost szaleje, ich zachwiane nadzieje odradzają się. Na chwilę milkną i z uwagą oczekują wyniku. „Jan Skolicz, Polska, 77 $\frac{1}{2}$ metra”. I znów wzmagają się brawa, publiczność liczy na to, że w drugim, lub trzecim skoku Polak poprawi się, a może i zdobędzie pierwsze miejsce.

* * *

Torr woolny! Rozpoczynamy trzecią serję skoków.

W dotychczasowych serjach prowadzi Lingstroemen (Norwegia) swoim skokiem 80 metrów, na drugim miejscu Jan Skolicz (Polska) z skokiem o pół metra krótszym. Toor woolny!!!

Publiczność zdaje się nie patrzeć na inne skoki, oczekuje tylko na tych dwóch pierwszych.

Hen, na samej górze zjazdu przygotowują się do skoku: Norweg i Polak. Wywołują już Norwega. Ostrożnie ustawia się na zjeździe, koniecznie chce zdystansować Polaka, zjeżdża, przed samym progiem rozszły mu się narty, zdążył ściągnąć, ale stracił na odbiciu.

Z piersi widzów wyrwa się: „Gorszy!”

Naprężenie wzmagą się, szanse Polaka rosną.

Zjeżdża Polak, skok! Świetny, napewno lepszy.

Raptownym przegibem ciała wypryskuje w powietrze.

W dole, przy końcu zjazdu publiczność ciśnie się, chcąc zobaczyć, już prawie pewnego, zwycięzcę. Powoli, lecz stopniowo, wysuwają za chorągiewki.

Skolicz — czuje, że znosi go w prawą stronę, wprost na publiczność, stara się skrócić, nie może, przewrócić się, to znaczy stracić zwycięstwo...

Chwila wahania — — —

Wpada z trzaskiem łamanych nart w widzów. Publiczność ucieka w popłochu, ale już nie potrzebnie, gdyż na placu leży kilka osób, to ze złamaną, lub zwichniętą nogą, to ręką, a wśród nich wijący się z bólu Skolicz.

Kilku lekarzy krząta się między kontuzjowanymi, starając się jak najprędzej opatrzyć rannych.

Wśród rannych leży Skolicz, zaciska kurczowo szczęki, a doktor opatruje mu złamaną nogę. Przez tłum, otaczający chorych, przeciwskają się przyjaciele Skolicza, dopadają do niego i jeden przez drugiego woła: „Jasiu, Janku, zdobyłeś pierwsze miejsce, pobiłeś rekord świata“.

Zbielałemi z bólu oczyma Skolicz patrzy nieprzytomnie. Zdaje się, że nie rozumie:

— Pobiłeś rekord świata o pół metra.

Coś jak błysk radości przelatuje przez szare źrenice. Ale w tej chwili nasuwa się refleksja, że złamana noga przekrośli raz na zawsze karierę sportową — skoczka. Źrenice ciemnieją. Z gardła wydobywa się krótki spazmatyczny płacz. Ale twarz jest spokojna. Martwa. Przez zaciśnięte szczęki wybiegają głuche słowa, nabrzmiałe rozpaczą.

— Tak. — Uśmiecha się smutnie — wie dobrze, że to już koniec świetnej kariery — że już nigdy...

— Ostatni skok...

Wiesław Laskowski: Bezrobotni

(Reportaż odznaczony III nagrodą)

Dzień dżdżysty. Ponury. W rynsztokach przewala się z pluskiem woda, niosąc brud i wszelkie odpadki. Błyszczą mokry bruk. Błyszczą mokre chodniki. Spieszący tłum ludzki, szary, jako niebo. Fragmenty zdań — słów — niosące przekleństwa i pogrożki. W stronę teatru idą grupkami ludzie. Kobiety. Mężczyźni. Starzy i młodzi. Chłopcy. Dziewczeta. Błazi i obdarci. Z piętnem głodu na twarzach. Wynędzniali o smutnych oczach. Spieszą też panie w karakulach. Wyelegantowani panowie. Krzyżują się nienawistnie — żarłoczne spojrzenia głodnych i jakgdyby zdziwione — tchnące pustką — sytych. Ci pierwsi nie spieszą do teatru na przedstawienie lub rewję. Nie. Oni idą żebrać o pieniądze dla siebie i rodzin. To — bezrobotni.

Przed gmachem teatru bulgocze i burzy się tłum głodnych. Jazgotliwe słowa — zaczepne — kłótniwe sypią się z wszystkich stron. Każdy z nich chce być pierwszym przy okienku — chce pierwszy zanieść zapomogę do domu — — bo tam czekają...

Co chwila wybuchają bójki w rzędach — załatwiane między sobą. Bo, opodal spaceruje policjant — gotów w każdej chwili interwenjować. Co prawda sam policjant ma dość niepewną minę. Ale nadzieja otrzymania pieniędzy przezwyćieża wszystko. Wybuchają przekleństwa na nowo — coraz z większą siłą — im dłużej okienko jest zamknięte. Lecz — podnosi się i w ramie miga blada twarz urzędnika. Rozpoczyna swą funkcję. Tłum pcha — tratuje. Nie zważa, że znajdują się obok kobiety mdlejące z głodu i wyczerpania. Tłum nie zna litości. Czas dłuży się. A urzędnik pełniący służbę, jak na złość marudzi — wypytuje — denerwując bezrobotnych.

Jakaś kobieta w podartej na strzępy spódnicy, w dziurawych butach, przez które widać czerwone nogi — z gorączką w oczach przedziera się — rozpycha — aby bliżej do okienka. Krzyczy suchym, urywanym głosem.

— Ludzie, puszczejta... dzieci moje umirają z głodu... puszczejta... Zlitujta się nademną...

Tłum daje powodować się litością. Ustępuje. Kobieta przedziera się do okienka. Lecz wtem rozlega się krzyk któregoś:

— Nie puszczać jej... Pijaczka...

To działa. Z wszystkich stron wybuchają okrzyki:

— Pijaczka!... Nie puszczać...

Znajduje się ktoś — kto podniesionym głosem informuje:

— Ona nima dzieci... Pije — psia mać — do szynku chce...

Kobieta nie zwraca uwagi na okrzyki — dociera do okienka — chwytą za kratę okienną i błaga urzędnika.

— Panie pryndzy-y-y — bo już nimam sił stać... O rany Boskie... pryndzy-y-y — — —

Tłum stara się oderwać ją od kraty, lecz ona kurczowo trzyma się i — wreszcie puszcza kratę — szczęśliwa — bo ma już pieniądze.

Czy naprawdę ona jest pijaczką?... Czyż naprawdę cała jej rozpacz przy dobijaniu się do okna — była wzbudzona uczuciem matki?... Czy też dobrze graną komedią nałogowej pijaczki? — — —

Nie — to nie pijaczka. Zbyt naturalną była jej rozpacz. Zbyt wielki ból malował się w oczach — ból i przestrasz, że może nie dostać nic — odrzucona przez współtowarzyszy niedoli lub zdenerwowanego urzędnika.

— Teraz pędzi do domu. Ma pieniądze. Da dzieciom jeść. Zapłaci komorne żydowi-lichwiarzowi za brudną i wilgotną suterynę. Przebiega przez bramę — drepce po schodach i naciska kłamkę. — Dzieci płaczą. Najmłodsze, skulone pod wyiębłym piecykiem, chlipcze pocichu. Szesćioletnia córka informuje:

— Mama... naszymy Staśka zabrał policjant... bo ukrad naszymy gospodyni kure —

Matka kładzie chleb na stół — milcząc kraje — i daje dzieciom. Ale to nie wszystko. Ktoś wybił szybę w suterynie zimno. Jeszcze jedno nieszczęście! Przy teatrze poszczęściło się. Lecz tu w domu nowa masa zmartwień i trosk. Najstarszego syna, co sprzedawał gazety i przynosił parę groszy — zabrał policjant, zbita szyba wymaga wstawienia, pieniędzy niema... Więc cóż robić? Kocąca się myśli w głowie. Więc znowuż nie zapłaci komornego. Żyd wyrzuci. A wtedy? — — —

Nakłada chustkę i wychodzi. Wychodzi zebrać. W bramie stoją dwie kobiety i gestykulując rozmawiają. Mimowoli staje i przysłuchuje się:

— Co słyhać u was, pani Cypryanowa?

— Ano nic nowego.

— A wasz stary pije jeszcze? — bo mój to siedzi jakoś cicho.

— Bogać ta nie pije — ale cóż mam robić.

— Ale... co to był za hałas dzisiaj rano w waszym domu?

— Ee! nie warto gadać, chłopoki pobily jakiegoś studenta i był policjant.

— Pani Cypryanowa — wiecie co? Te akademiki to tak rozpanoszyły się w Polsce, że ludziom nie dajm spokoju. Niedawno żydków bili, teraz tu robium burdy — jeszcze na dodatek urzondzajom jutro bal i bydum sie bawić? —

— Mój Boże — nie daliby lepi tych piniondzów, co dadzą na bal, jakim bidokom — abo mało takich jest?

— Abo poco. Dyc oni przepijom to wszystko. Przecie jak taki dostanie zapomogę — to leci do szynku. Moja paniusiu — znam ja takiego...

Błoto. Czarne i lepkie poprzerywane mętnymi kałużami. Chłód przenikliwy wciskający się przez dziurawą chustkę. Opryskliwi przechodni spieszący na bale — do teatru — do kin — — I nieszczęśliwa matka, szukająca kawałka chleba dla głodnych dzieci — — —

Swen Lais: Wiosna

kołegom...

*O drodzy moi — pijani wiosną i winem
na ulice biegnijmy gwarne
i upojeni białym jaśminem
całujmy kochanki latarnie.*

*Na wiosnę wszystko przystoi
nic nie jest schockingiem — złym tonem,
jeśli się nawet jak Pan*) przystroim
i miasto tanem uczcim szalonym.*

*Pijani bzami i lemoniadą
na afisze będziem się gapić tęczowe
i błędząc słonecznym śladem
śmiać się radośnie w święto majowe.*

*Świat cały w sercu i duszy!
hej! szumi wino w zielonej głowie!
błyszczą się srebrem wiosenne kałuże!
smukłe panienki w oczach się dwoją.*

*A każdą spotkaną pozdrowim
i poprosimy do kina —
nie bójcie się — nikt się nie dowie!...
zresztą — to wiosny wina.*

*) z mitol. gr. Pan — bożek, towarzysz nimf, łączący pojęcie Satyra i Fauna.

Kryspin Ch.: Przygody pana Fitulskiego

Pan Hipolit Fitulski był figurką pozującą na człowieka doświadczonego, znającego życie i na człowieka, któremu się wszędzie należy pierwszeństwo i sława.

Głowa pana Hipolita ładząco przypominała skąpca Moljera. Jednak pod pewnym względem go przewyższała, mianowicie twardy i żółkły, tudzież rzadki, włos stanowił piękny kontrast z czarną oprawką binokli. Należy dodać, że głowa była osadzona na chudej, długiej szyjce, kręcącej się na szczupłym i lekko zgarbionym korpusiku.

Pan Hipolit, prócz modnych zawsze ubrań i sztywnych koźnierzyków był w posiadaniu największego błędu swego życia, to jest żony, o której czytając ręczę, że by westchnął.

Pan Fitulski wszędzie, jak mu się zdawało, był szanowany, lecz w cichości i, ja to powiem, w tajemnicy, bawiono się jego kosztem i śmiano.

Weźmy choć taki maleńki wypadek. Pan Hipolit, zapalony myśliwy zresztą, chodził regularnie na polowanie. Pewnego więc pięknego poranku zimowego, po sznapsiku u naczelnika poczty i uprzedzeniu żony, wybrał się p. Hipolit, tudzież kilku inteligentów lksinowa na polowanko. Pan naczelnik naturalnie na poczcie zostawił zastępcę, a sam coś długo majstrował w drugim pokoju przy ładunkach p. Fitulskiego.

W czasie drogi p. Hipolit poządliwie spoglądał na wypchaną torbę p. aptekarza i rozmyślał, jakie w jej czeluściach znajdują się zakąski.

Nasi myśliwi właśnie znajdowali się na górcie, aż tu nagle p. doktor zauważył biednego szaraka:

— Hippiu! widzisz pan? kot! —

— Gdzie? — zawołał p. Hipolit, sięgając lewą ręką do binokli w czarnych obwódkach, poczem obydwoma rękoma złożył się do strzału — wymierzył. Pociągnął za cyngiel i — o dziwo — przed naszymi myśliwymi poczęło prócz dymu unosić się pierze. Nasz strzelec zdębiał, bodaj więcej od zająca, będącego obecnie już daleko!

Wszyscy parsknęli dyskretnym śmiechem.

— Doktorze, widział pan, trafiłem, pierze leciało! —

Śmiech stał się mniej dyskretnym.

— Hippiu, bój się Boga, od kiedy zając jest porośnięty pierzem?!

— Jak Boga kocham, pierze leciało.

Ten cud natury, dający upierzenie zającom, powtórzył się kilka razy. Pan Hipolit się denerwował, pierze leciało, a zające czmychały

Tymczasem doktor z wypchaną torbą i magister zniknęli. Nagle oczom p. Fitulskiego ukazał się niedaleko szarak.

— Bestja — myśli Hipciu — ma bezczelność pod samym moim nosem się ruszać — Dam mu zato! I strzela, leci pierze, a szarak isiedzi i nic. Ki djabeł — myśli Hipolit, podbiega, znowu strzela znowu pierze. Zając siedzi. Hipciu biegnie w jego stronę i znowu, pierze sypie się. Zając nie rusza się. Podbiegł tuż, flintę przyłożył gryzoniowi do łba — wystrzelił. Łeb oderwał się od tułowia i przez otwór miast krwi ujrzał słomę — zwykłą słomę. Nagle z rowu wynurzyła się głowa doktora i pana Jana z twarzami roześmianymi. Doktor w rękę trzymał sznurek, który osłupiały wzrok p. Hipolita doprowadził do zająca. Teraz zrozumiał. — O cywilizacjo! — strzelał do ruszającej się wypchanej skórki. Lecz pierze obficie lecące po każdym strzale pozostało dlań tajemnicą. Odkrył ją, powróciwszy do domu, gdy rozkręcił jeden z ładunków i znalazł w nim, zgadnijcie?? pierze, nasypywane przez naczelnika. Od tego czasu kasjer mniej chętnie uczył się na polowaniu.

Dowcipni towarzysze bohatera polowania umieli i winny sposób zapisać sobie z niego. Dla higieny p. Hipolit co drugi dzień moczył się w dużej miedzianej wannie, nie przypuszczając, że stanie się to przyczyną: straty kilkudziesięciu złotych i wesołego opowiadania dla znajomych.

Właśnie grzano wodę, gdy pod jakimś błahym pretekstem przyszedł mecenas, bliski sąsiad p. Hipolita i doktor, który nagle wymknął się z pokoju. Nasz gospodarz skarżył się właśnie dobrodusznie na reumatyzm w lewej nodze, a tymczasem doktor zakrzyknął się koło wanny i wpuścił do wody niechcący kilka laseczek lapisu. Po wyjściu gości p. Hipolit z rozkoszą zanurzył się w wodzie.

Lecz po kąpieli z przerażeniem stwierdził w lustrze, że z zółtego poczyna nagle czernieć. Sądząc, że zbliża się jego ostatnia godzina, z przerażeniem i lamentem żony, posłał po księdza i doktora. Już pisał testament, czując się bliski śmierci i łzami zraszał papier, gdy wpadł doktor. Po zbadaniu, kazał mu się położyć na ziemi z nogami przywiązanymi wysoko do poręczy i w tej niewygodnej pozycji kazał mu przespać noc całą, uspokoiwszy poprzednio co do życia.

— Musi pan jeść bardzo dużo pomarańczy, to po kilku dniach będzie pan zdrowy jak ryba.

P. Hipolit kupił całą skrzynię pomarańczy i nie pokazując się nigdzie, konsumował je zapamiętane.

Z tej sposobności nie omieszkali skorzystać przyjaciele i częste składali mu wizyty. Lecz murzyński kolor skóry naszego bohatera zniknął, a miasteczko się śmiało z p. Hipolita, który pewnie dziękował Bogu, że nie dostał cukrzycy.

Gorzej bywało.

Pan Hipolit publicznie się ośmieszył. Właśnie wracał z przyjaciółmi z bibki, gdy jeden z nich, chciało nieszczęście, przed samymi drzwiami mieszkania p. Hipolita, wskazując na wysoki słup z latarnią, powiedział:

— Założę się Hipciu, że nie wejdiesz na latarnię,

— Co?? Słowo daję, wejdę.

— Nie wierzę.

— Postawisz kolację?

— Postawię. Tylko wejdź.

Pan Hipolit zabierał się wdrapywać, gdy nagle stanął zmięszany.

— Słuchajcie panowie, spodnie... spodnie mi tego — tu chrząknął — ... są ciasne...

— Ależ nie krępuj się — no — nikt nie widzi.

P. Hipolit, pozbywszy się spodni i ułożywszy je starannie pod latarnią, w mig wdrapał się na sam czubek. Lecz nagle zdebiął.

Towarzysze schwycili leżące spodnie i poczęli z nimi uciekać, krzycząc przeraźliwie.

Nieszczęście chciało, że szanowna p. Hipolitowa miała okno vis a vis latarni i na przeraźliwe krzyki pospieszenie je otworzyła. Poznawszy małżonka na latarni, omal że nie w stroju adamowym, załamała ręce:

— Hiipciu! co ty wyrabiasz?

— Kochana Pelciu...—począł p. Hipolit, lecz musiał pospieszenie zejść, bo okna sąsiadów poruszone krzykiem poczęły się otwierać. Nazajutrz całe miasteczko trzęsło się ze śmiechu, a p. Hipolit po odzyskaniu spodni wracał późnym wieczorem w różowym humorze po wygranej kolacyjce.

Dość trzeźwym i energicznym krokiem wszedł po schodach i cokolwiek mniej energicznie zadzwonił, bowiem spodziewał się małej awanturki ze strony żony, z powodu zbytniego opóźnienia się na kolację. Lecz jakie było jego zdziwienie, gdy żona z wielkim wylewem czułości go powitała i wprowadziła do salonika.—Aa, teraz rozumiem— i błysk radości przeleciał przez cokolwiek zawianą mózgowicę — nie będąc mieć kazania.

— Co za szczęście? — dodał głośno, witając się z przystojnym młodzieńcem, który również czule ścisnął go za rękę. Muszę nadmienić, że główny błąd życia p. Hipolita pobłogosławił Pan Bóg przed dwudziestu laty małą córeczką. I temu właśnie wypadkowi napozór błażemu, zawdzięczał p. Hipolit uniknięcie awanturki i wizytę młodego człowieka. Błogosławił pewnie w myśli tę chwilę, gdy wnet szanowna

małżonka poprosiła wszystkich, to jest p. Hipolita, jego córeczkę pannę Jasię i przystojnego młodzieńca pana Wiktora do stołowego pokoju.

Po kolacji p. Hipolit dopijał z powagą herbaty, gdy nagle usłyszał słowa gościa, który rozwlekał się z pewną tendencją na temat ułomności ludzkiej. — Człowiek jest tak ograniczony — mówił — tak nie panuje nad swymi nerwami, że np. nawet nie może dwadzieścia razy jednakowo się podpisać. Ten zarzut, stawiany całemu pokoleniu Adama i Ewy, bardzo ubódł naszego bohatera.

— Ee... więc mówi pan dobrodziej, że niema człowieka, któryby dwadzieścia razy jednakowo się podpisać? Hm! a gdyby taki człowiek się znalazł? To co? — Powiedziałbym, że przewyższył wszystkich —

— Dawaj pan papier! — Ja wam pokażę gołowasy, jak się porządny człowiek podpisuje — I przyszyły mu na myśl chwile, gdy w młodości podpisywał liczne blankiety wekslowe — Et grzechy młodości.

Pan Wiktor wnet naszykował dwadzieścia luźnych kartek, by p. Hipolit, pisząc na każdej oddzielnie, nie patrzył na poprzedni podpis. Wnet p. Fitulski złożył dwadzieścia autografów. Poczem porównywał podpisy, które okazały się rzeczywiście jednakowe. Pan Hipolit triumfował, lecz na nieszczęście nie zauważył, że pewna część karteczek powędrowała do kieszeni młodego człowieka.

Nazajutrz podczas pobytu p. Hipolita w mieście do mieszkania przyszedł jakiś człowiek o bandyckim wyrazie twarzy, jak później twierdziła p. Pelagja i z głupkowskim uśmiechem podał jej zapisaną karteczkę. Pani Pelagja podejrzliwie spojrzała na pismo, stały w nim niewinne wyrazy:

Kochana Pelciu!

Daj temu człowiekowi kieliszek sznapsa, zakąskę i złotówkę, za przysługi, jakie mi wyrządził.

Twój kochający Cię małżonek

Hipolit Fitulski.

Kochana Pelcia pokręciła głową, lecz prośbę kochającego małżonka spełniła, tembardziej, że podpis był autentyczny. Lecz po pewnym czasie przychodzi drugi taki człowiek z taką samą karteczką i głupkowskim uśmiechem, a po nim trzeci, czwarty, piąty. To już rozłościło panią Pelagję.

— A coście człowieku za przysługę zrobili panu? — pyta się zdenerwowana.

— Ja, hm, tego, nic —

— Jak to nic? —

— Anu, toć mówię nic, ino pan doktor i mecynos mnie tu przysłali z tum karteczkum i padali, co ja tu mam wódki i złotówkę dostać.

Szósty i siódmy taki posłaniec dostał od p. Hipolitowej po karku.

Gdy p. Hipolit wrócił do domu, p. Pelagja podsunęła mu pod nos kartkę.

— Twoje to pismo?

— Kochana Pelciu — inaczej nie mówił, jak kochana Pelciu — kochana Pelciu, rzeczywiście moje.

— Co to ma znaczyć? ja pięć złotych straciłam przez ciebie! — rzekła, a właściwie wyrzuciła p. Pelagja, wywijając małżonkowi karteczkami pod nosem.

— Ależ kochana Pelciu...

— Co ci ludzie za przysługę tobie wyrządzili?

— Kochana Pelciu, jacy ludzie?

— No ci, których przysłałeś do mnie.

— Ależ kochana Pelciu, ja żadnych ludzi nie przysyłałem do ciebie.

— Jakto nie? A co twój podpis znaczy, toć Twoje pismo?

— Kochana Pelciu!... jak Boga kocham moje, ale ja przecie nie posyłałem.

— Chyba musiałeś pić, nie pamiętasz coś pisał.

— Kochana Pelciu, jak cię kocham piłem, ale wierzaj mi, kartek nie posyłałem — zawołał p. Hipolit, wydając się, że pił z przyjaciółmi.

Gdy taki ciekawy dialog toczył się pomiędzy p. Hipolitem a jego małżonką, pan Wiktor, doktor i mecenas, krztusili się od śmiechu w przedpokoju, podsłuchując pod drzwiami. Kartki oni przysłali, lecz podpisy były p. Hipolita, a kiedy się podpisywał, wiecie piękne czytelniczki i przystojni czytelnicy.

Swen Lais: Słoneczny dzień

Jagiellonkom...

*Tyle mam w sobie słońca i wiosny
i taki szczęśliwy, oh, takim wesół!
że chyba oburącz trzymając się sosny
śmiałybym się długo — bez końca — bez kresu — —*

*Jak dobrze, że świat nareszcie odżył! —
— ciągnie się z szkoły warkocz panienek
i rozhuśtany wiatrem jak brzozy,
furkocze listowiem sukienek.*

*Każda radością wiosny promienna
to moja miłość słoneczna --
a każda żałobą smutku jesienna
siostra serdeczna -- --*

*Z nadmiaru szczęścia serce zaciasne!
oh! życzę Wam, Wszystkie — życzę:
z słońcem całować się jasnym,
a kochać z srebrnym księżycem.*

J. Rączkówna: Zwichnięta karjera poetki

(Jak nie trzeba pisać wierszy)

Razu pewnego zapytano mnie, czym będę? Zacerwieniłam się i niebardzo wiedziałam, co odpowiedzieć.

— „No, może nawet zostanie poetką” — rzekła jedna koleżanka. Ta myśl spodobała mi niezmiernie! Ach! zostać poetką, być sławną, kochaną, podziwianą!

Odtąd nie miałam spokoju. We śnie widziałam się odznaczoną za me prace; w klasie (szczególnie na matematyce), marzyłam, jak to ludzie będą się ubiegać o me względy. Ponieważ wiedziałam, że dobre chęci nic nie znaczą, gdyż właśnie niemi jest piekło wybrukowane, postanowiłam się zabrać do czynu. Wyboru tematu dokonywałam przez trzy dni. Sam wiersz napisałam w przeciągu 7 minut i 15 sekund.

Posłuchajcie go miłe czytelniczki i czytelnicy:

Słońce jasno wschodzi

Z niskiej chaty wieśniaczej

Kobieta wychodzi

Do pracy ladajakiej.

Osądźcie, czy nie wspaniały? Wprawdzie zapytana, sama nie umiałabym objaśnić co to za praca mogła być ladajaką. No, ale trudno! Nic mi innego w danej chwili nie przyszło do głowy. Ale za to rym jest zachowany, temat z życia ludu. Byłam z niego bardzo dumna. Zapału mego nie zdołał nawet osłabić fakt, że dzięki wierszom oberwałam dwóję z matematyki.

Ponieważ słyszałam, że dużo talentów bywa nieuznanych, postanowiłam wprawiać się w pisanie wierszy, a dopiero potem je przeczytać i niemi olśnić!

Tak też i zrobiłam. Po paru mniej więcej udatnych, wyszedł z pod mego pióra, a właściwie ołówka, wiersz, w mojem przekonaniu — arcydzieło, wobec, którego mogły schować się w kącie nawet wiersze Konopnickiej. Oddałam go do przeczytania pewnej pani, o której wiedziałam, że sama jest poetką.

Pani owa wzięła mój rękopis i poczęła czytać:

W gąszczu ciemnej zieleni	I wszystkie barwy roztoczy,
Wychodzi stado jeleni	W lesie dziewczyna kroczy
W dali tęcza się mieni	I splata włosy warkoczy.

Gdy skończyła, z uśmiechem, który mógł zarówno oznaczać zachętę, jak i politowanie — rzekła: „Moje dziecko, jeśli chcesz, żeby wiersze były dobre, musi być w nich logika!”

Z początku byłam oszołomiona, ale kiedy ochłonęłam, doszłam do przekonania, że primo: tą panią powoduje zazdrość (przeczuwa we mnie rywalkę), secundo: że w wieku samolotu i radja, tematy romantyczne nie znajdują zrozumienia i należy opisywać życie realne.

Pierwszy wiersz, który brzmiał:

W wielkiej sali pracują motory
I prowadzą zbyt głośno swe rozhowory

dałam do przeczytania tatusiowi. Tatuś mój był inżynierem; słuszną więc żywiłam nadzieję, że wiersz mój będzie należycie oceniony. Lecz jakież było moje przerażenie, gdy tatuś, przeczytawszy, roześmiał się i nie mówiąc słowa, wrzucił do kosza. Tego już mi było zawiele! A gdy w dodatku zesumowałam wszystkie dwóje, kary, pieniądze wydane na papier i czas stracony, doszłam do przekonania, że na luksus pisania wierszy mogę sobie pozwolić dopiero później, że na razie trzeba pogrzebać marzenia o karierze poetki.

Ludomir Korczewski: Tomasz i S-ka

Tomasz, ach Tomasz,
Ach, powiedz skąd Ty to masz?
Skąd u Ciebie taka graja, taki wdzięk?
Na Twój widok sam kamień by zmięknął...

Taki jest już mój los. Jeżeli coś napiszę, znajdzie się zawsze ktoś, kto uczuje się dotknięty i z tej racji dedykuje mi sążniste epistoły, w których powołując się na dawną znajomość, nazywa mnie (zależnie od okoliczności) albo kochanym kolegą, albo też krótko: idjotą. Zjawisko to powtarza się przytem periodycznie — zawsze po jakiejś krytyce.

Niedawno w dość poczytnym organie „Kaliny” niejakim „Sztubaku” niejaki Wołkowiński Rościśław rościł dzikie pretensje z powodu zjechania przeze mnie jego „podświadomego plagjatu” — a widząc,

że milczę cierpliwie, zerznął dosłownie z „Mojego Pisemka utwór pani Buyno-Arctowej p. t. „Dzięcioł”.*) Teraz do ataku ruszył literat ciężkiej wagi — „z woli ludu” prezes „Samopomocy”, dwojga imion Tomasz Jan. Zresztą, oczekiwałem tego. Bo już po ukazaniu się mojej krytyki, zaczęły mię dochodzić słuchy, jakoby owy prezes „Samopomocy” przy pomocy Zarządu, wespół z Redakcją „Sztubaka” oraz pewnej panienki pitrasi jakąś tam odpowiedź dla mnie. Pogłoski się sprawdziły. Owe dziecko, plód zbiorowej pracy i natchnienia ujrzało światło dzienne — mocno pstrokate, nic dziwnego zresztą, jeśli się zważy, że miało aż tyle ojców. Mój Boże! Czegoś tam niema. Najpiękniejsza wiązanka wyrażeń parlamentarnych. Wiazanka, podana z maestrią przedziwną, w porządku odwrotnym, niż wino w Kani Gallilejskiej — bo z początku są insynuacje skierowane pod moim, oraz pewnej niewinnej blondynki, adresem — jest kategoryczne stwierdzenie, że brak mi rozumu, zdrowego rozsądku, oleju etc. — a na końcu jest i kilka komplementów, że niby mam zdolności i że będę drugim Boy'em. Co do tego punktu — nic jeszcze nie wiem — ale jedno jest pewne, że czcigodny prezes, równie czcigodnej organizacji jest i pozostanie pod pewnymi względami boy'em (przez małe b) pomimo swoich walorów fizycznych. A co do oleju — to mój krytyk stwierdza równie kategorycznie, że mi go brak. Przyznam się, że nie spotkałem jeszcze człowieka z olejem w głowie. I sędzę, że go pewnie i kol. Brudnicki nie posiada w wnętrzu swojej prezesowskiej czaszki. Najwyżej na czaszce.

Początkowo, nie miałem zamiaru odpowiadać. Nie lubię bowiem dyskutować z ludźmi bez własnych przekonań i własnego zdania. Ludźmi, dla których najwyższym kryterjum jest to co drukowane, i których jedyną bronią są wyświechtane komunały i frazesy. A takim frazeologiem jest kol. Brudnicki. Niczem więcej! Apolegetyka moralności Słowackiego traci właśnie ową specyficzną manierę tego rodzaju ludzi. Trudno też mówić o moralności „Mazepy”, jako koncepcji dramatycznej. Powiedział kiedyś Oscar Wilde „że niema książek moralnych i niemoralnych — są tylko dobre i złe napisane.” — I słusznie! Gdyby „Dzieje grzechu” napisał pisarz niższej klasy, niż Zeromski, byłaby to klasyczna rzecz z zakresu literatury pornograficznej. Wszystko zależy od możliwości artystycznych i skali talentu.

Powtarzam więc, że nie miałem zamiaru odpowiadać. Ale zmusił mię jeden fakt. Mianowicie nieumotywowana napaść na blondynkę. Biedna ona! Czyż mogła przypuszczać, że jej opinia wywoła takie następstwa. Ze atletycznie zbudowany młodzieniec, zaopatrzony obficie przez Matkę Naturę i Samopomoc spłodzi równie atletyczną odpowiedź w stylu t. zw. wolno - amerykańskim? I że nią położy mnie na łopatkę? Będzie propagować prawo pięści? (Czyżby Wallace?) ...„ująłbym się czynnie za Wielkiego Nieboszczyka”... W tym miejscu domyślał się, że nie ujmowałby za „Wielkiego Nieboszczyka” — tylko za mnie...

*) Opowiadanie to ukazało się też w książkowym wydaniu. Dziś jeszcze można dostać w księgarni w formie książeczki za 10 gr. Egzemplarzem służę.

Miły to był zwyczaj dawniej — jeszcze w epoce kamienia łupanego, że gdy się komu w kimś coś nie podobało, brał zazwyczaj solidny kamień i tłukł nim w głowę tak długo swego intelukatora — aż ten przekonany takim „uderzającym argumentem” albo uznawał wielkość swego partnera, albo przenosił się na łono Abrahama. Zwyczaj był miły. Mnie się nawet osobiście taki bitny argument podoba. Gdyby tak zastosować go dzisiaj! Już widzę Was kol. Brudnicki z naszyjnikami na piersiach, złożonym z zębów trzonowych tudzież siekaczy Waszych krytyków. Ale cóż? Czasy się materjalizują. Romantyzm już nie epoki kamiennej — ale wieku XIX — definitywnie wyszedł z życia. Ogół niepomny na święte przykazania tradycji, idzie z postępem czasu. Zarzuca prastare zwyczaje epoki kamiennej. Wyrzeka się przodków. „Mais, ou sont les neiges d'antan“! I tylko jasnym promieniem wśród ciemnych dni naszej ery, są młodzieńcy atleci wierni stojący przy standarze tradycji. Oni — entuzjaści kamienia, kobiety i rodzaju nijakiego — realizują romantyczny program w wieku materjalizmu. Cześć Wam kol. Brudnicki! Ale żart na stronę. Teraz kwestje zasadnicze. Narzeka kol. Brudnicki na moją krytykę, że krytykuję „Wielkiego Nieboszczyka” (przez wielkie N), że nie mam pojęcia o krytyce, że jestem laikiem w kwestjach literackich, że moja krytyka jest synonimem prowincji etc. etc.

Doprawdy nie wiem, skąd mój komentator to wszystko wziął. Napisałem na marginesie wystawienia „Mazepy” kilka uwag i refleksyj co do interpretacji ról i że dzięki słabej przeszarżowanej grze sztuka zatraciła swój charakter i grawitował nad krawędzią groteski. Następnie usprawiedliwiłem niejako aktorów-amatorów, że sztuka była trudna do grania dzięki podkładowi nadrealizmu. To wszystko! Słowackiego, bynajmniej nie krytykowałem — lubię go i cenię — wołę od Mickiewicza, ale znowóż nie czczę bałbochwalczo. Uważam, że obok dzieł wielkich — miał i rzeczy słabe — przeciętne. Dziś Słowacki jest dla nas świętością nieomal, — „bronzem“ — ale przypomnicie kol. jak go niedoceniał za życia. To jest charakterystyczne dla nas Polaków — że dopiero śmierć autora daje mu rekompensatę i nietykalność krytyczną.

Dość wspomnieć ostatnio zmarłych Przybyszewskiego i Perzyńskiego. Wątpię, czy znalazłby się dziś — człowiek, który poważał skrytykować Przybyszewskiego — a przed kilkunastu laty mieszano go z błotem i imię jego było synonimem brudu moralnego. Więc ni oburzajcie się — za pewne uwagi moje — gdyż nawet krytykując nie wpadam w krańcowość — tak jak wy. Zachowuję obiektywizm krytyczny. I jest mi wszystko jedno czy autor żyje, czy nie. Krytykując — jak chcecie — nie miałem na celu ukroczyć „Wielkiego Nieboszczyka” o kilka centymetrów. Broń Boże!

O tem, że nie jestem „orłem w literaturze” — dobrze wiem. Bo i skądżeby. Na to trzeba długich lat studjów i to nie gimnazjalnych. Trudno też wymagać, by moja pierwsza recenzja była dobra. Była to przecież próba — nie dla znawców z bożego dopustu przeznaczona — ale dla kolegów. Była to próba — jak wszyst-

kie zresztą nasze prace zamieszczone w pisemkach szkolnych. Być może, że po wyjściu z gimnazjum — zapomniemy o nich. Chociaż nie jesteśmy literatami, socjologami, filozofami — przecież poruszamy kwestję i zagadnienia wchodzące w kompetencję ich zawodów. Nikt się o to nie oburza — bo dobrze nie, że to są tylko próby. To trzeba pamiętać i wybaczać. A co się tyczy mojej krytyki, to dodam, że nie opierałem na niczym autorytecie. Pisałem — kierując się własną opinią — i biorę za to całkowitą odpowiedzialność. Nie upieram się przytem, że sąd mój był trafny. „Nie! Być może — że był błędny. Trudno, jestem indywidualistą — jak każdy krytyk. Mogłem się omylić. Krytyka jest zależna od krytykującego. Każdy rozpatruje pod własnym kątem. Innymi kategorjami krytykuje Boy-Zeleński niż np. Grzymała-Siedlecki. Inny jest znowu pogląd Irzykowskiego niż Wasylewskiego. Inny Lorentowicza. Inny Grubińskiego. Inny Słomińskiego. (Na tego krytyka radziłbym zwrócić uwagę). Jak różne bywają sądy krytyczne o tej samej sztuce i wykonaniu — wykazało przedostatnie przedstawienie w „Ateneum“, „Dam i Huzarów“. Radziłbym zwrócić uwagę na dwie djamentralne krytyki: Boy'a Zeleńskiego w „K. Kurj. Codz.“ i Grzymały-Siedleckiego w „Kur. Warszaw“.

No, a teraz mała lekczyjka. „Każdy sąd jest prawdziwy” mówił niegdyś Sokrates — i byłoby dziwnem, gdybyśmy w życiu kierowali się li tylko własnem „widzimisję” — nie uwzględniając innych przekonań lub co gorzej potępiając je. A tak robi czcigodny prezes — stanowczo nie doceniając znaczenia krytyki. Bo jeśli uważa — że rzeczy znanych nie trzeba krytykować — myli się. Krytyka spełnia rolę doniosłą. Tak doniosłą, że Sz. kol. oceni dopiero czytając moją odpowiedź. N. b. Upraszam nie interpretować mylnie moich słów — krytyka bowiem nie osadza się na stwierdzeniu mentalności pseudo-krytykowi. Jest ona (krytyka) wykładnikiem postępu. Dzięki niej idziemy naprzód. Krytykując stare formy — szukamy nowych, lepszych. Czasami jest trochę rewolucji — ale trudno. Musimy abnegować z pewnymi może miłych — ale starych pojęć. Gdyby np. Kant nie przekrytykował systemu filozoficznego Kartezjusza — nie mielibyśmy dzisiaj „Krytyki czystego rozumu“.

No a teraz parę conceptów, parę złośliwości i będzie koniec. Widzicie — rozczuliłem się czytając waszą krytyczną odpowiedź na moją krytykę kol. Tomaszowi Janie. Teraz rozumiem, dlaczego płonę ku Wam takim afektem cne dziewice kaliskie. „Co winien Tomuś, że jest taki śliczny“. Ba zapewne! A co do kamieni — to chyba można tu zastosować stare hasło „swój do swego“. Zapewne reminiscencje epoki kamiennej, Czerwonego Oka i t. p. A cd siebie życzę Wam, żeby to „przyszłe odrodzenie ludzkości“ — w duchu tradycji — zrealizowało się jak najprędzej i jak tatuś zostało prezesem „Samopomocy“ A na chrzciny zaproszę!

Ah! byłbym zapomniał. Otóż „Mazepa” nie jest najlepszą koncepcją dramatyczną Słowackiego. Nie! Jest bodaj najslabszą. Jeśli chcecie autorytetu — to proszę! Kleiner (t. III str. 10) pisze: „Je-

śliby się artyzm wykonania nie brało w rachubę, powiedzieć by należało, że z wielkich dzieł Słowackiego „Mazepa” jest utworem najprześciętniejszym”. Voila! Radzę przeczytać Kleinera! Dobrze zrobi przed maturą. Nie obawiajcie się — nie jest nudne. Tylko tak wyglądał

Mcże widzieliście, jak kura na widok jastrzębia osłania piórami kurczaki — otóż to samo uczyniliście Wy — osłoniliście jednym, co prawda, piórem takie sobie małe „cipcie” kurczątko w osobie kol. Berka. A co do niego — to nie ja sam zauważyłem, że ryczał tak, jakgdyby nie jednego tracił syna — a przynajmniej tuzin. O jecie **zadżumionych** — to przy nim szczeniak. A co by to było, gdyby kol. Berek dostał rolę Salomona, który posiadał tysiąc żon i parę setek dziątek. Efekt bajeczny. Słynne trąby jerychońskie nie wytrzymałyby konkurencji. Swoją drogą, jak w dniu Sądu Ostatecznego, kol. Berek stanie przed Dobrym Panem Bogiem — wielka rola z „Mazepy” będzie jego jedynym grzechem za życia na ziemskim padole.

Mała dygresja. Śmiech, który wybuchł na widowni, niestety, był spowodowany głosem owego kurczątko, które nad podziw pięknie zapiało w niestosownym momencie. Mam świadków. Z czego się galerja śmiała — nie wiem. W czasie gry patrzyłem na scenę, a w czasie antraktów... nie dziwcie się, że wolałem oczy sympatycznej a przystojnej blondynki, którą uważam wbrew waszej opinji za inteligentną, niż być na galerji i widzieć was przy robocie. A robota ta związana z wywoływaniem reżysera — zrobiona była za grubo. Można by subtelniej.

Słów kilkoro pocieszenia. Nie martwcie się, że rażą Was latoryzmy i gallicyzmy użyte przeze mnie. Nie martwcie się. Pamiętam, gdy przed kilku laty czytywałem artykuły kol. Pietrzaka, który obcych wyrazów nadużywał raczej niż używał — też się irytowałem. To jest całkiem uzasadnione psychologicznie. To przejdzie!

Już kończę. Jedna przestroga i kilka rad. Na drugi raz rozważcie dokładnie, to co chcecie napisać — napiszcie — a potem dajcie do poprawienia pp. Profesorom. Niechże owe świadectwa ubóstwa mają chociażby poświadczenie władz szkolnych, jeśli nie magistrackich! Róbcie to tak długo, aż nauczycie się myśleć samodzielnie — a narazie nie zmuszajcie mię do odpisywania i opiekowania się Wami i Wam podobnym — bo tym sposobem nie zrobicie za mnie Boy'a — prędzej natomiast cowboy'a. I kiedyś rozgniewam się i kropnę Wam taką odpowiedź, że się popłaczeć. Stary jestem i zrzęda, ale serce mam dobre, tedy na ten raz wybaczam. A na zakończenie radzę: „Ofeljo, wróć do klasztoru!”, czyli „Tomciu, wróć do Wallace'a i Zarzyckiej!” I rzuć krytykę! Kończę dyskusję.

Redaktor odpowiedzialny: p. prof. Jan Męczyński.

Kom. Redakcyjny: Winecki Michał, Korczewski Ludomir, Maciejewski Arkadiusz, Kryspin Chojnacki, Eugenjusz Zieliński, Stanisław Lewański.

Kierownik ogłoszeniowy: Lewandowski Henryk.

Wydawca: „Bratnia Pomoc” uczniów gimn. im. T. Kościuszki.

Adres Redakcja: Kalisz, gimn. im. Tad. Kościuszki „Swit”.

Drukarnia Wydawnicza — Kalisz

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić J. W. P., że
w dniu 21 stycznia otworzyłem przy ul. T. Kościuszki 2
tuż przy ulicy M. J. Piłsudskiego

sklep spożywczo-kolonjalny

specjalnością którego są: **kawy, herbaty i kakao.**

Polecam kawiarniom i restauracjom
swoje znakomite mieszanki kaw i herbat.

Mam nadzieję, że J. W. P. odwiedzą mój sklep, by prze-
konać się o jakości towaru

BOGUSŁAW REPETA.

Zakład Jubilersko - Złotniczy i Grawerski St. Prymasiewicz w Kaliszu

został przeniesiony

na Plac 11 Listopada, Piekarska 2.

Kupuje złoto i srebro
po cenach najwyższych.

Specjalność: obrączki ślubne
i przedmioty jubileuszowe.

Zakład i Skład Elektrotechn. „Elektroprąd“

sp. z ogr. odpow.

Kalisz, ul. Marsz. J. Piłsudskiego 32, tel. 218

poleca po niżonych cenach, w dużym wyborze:

żyrandole, lampy elektryczne, abażury, ample, latarki kle-
szonkowe, klosze tulipany, plafony, zapasowe szkła i t. p.

Bardzo dogodne warunki kupna.

NATYCHMIASTOWA NAPRAWA ŚWIATŁA.

Wykonanie szybkie!

UWAGA! UKRYTE PIENIĄDZE UWAGA!

znajdują się w każdym domu

i to w odróż, która jest zbyt zniszczona lub splamiona, a w takim stanie niezdadna do noszenia. Odrzeź tę zamienia nieomal na nową za pomocą czyszczenia i farbowania, tylko jedna na Kalisz fachowo-dyplomowana

Farbiarnia Artystyczna i Chemiczna Prulnia

ejz. od r. 1900

E. G. HEININGERA, sklep Kalisz, Marsz. Piłs. 37.

Pracownia: Szosa Turecka (dom własny) Filja Pabjanice, Kościuszki 7.

U W A G A! W celach reklamowych firmy naszej postanowiliśmy **U W A G A!** stosować niebywałą dotychczas zniżkę cen.

Ceny reklamowe!

... Najtańsze, najsmaczniejsze i zawsze świeże wyroby cukiernicze poleca cukiernia:

P. Szulakowski

Kalisz, ulica im. Marszałka J. Piłsudskiego.

**„Szkolnica Polska“
M. BĄKOWSKA**

ul. Marszałka J. Piłsudskiego Nr. 39.

Materiały piśmienne i biurowe solidnie i tanio dostarczamy do szkół i biur.

Ramy owalne i oprawa obrazów.
Ceny niskie. Obsługa szybka.

**SKŁAD APTECZNY
M. KIERNICKA**

ul. Kanonicka róg Nadwodnej

poleca:

wyroby kosmetyczne
i perfumeryjne
po cenach przystępnych.

Cukry Warszawskie

M. MIKSTACKA

KALISZ,

ul. Marsz. Piłsudskiego 33.

L. BOGUCKI

dawniej **A. PIWEK**

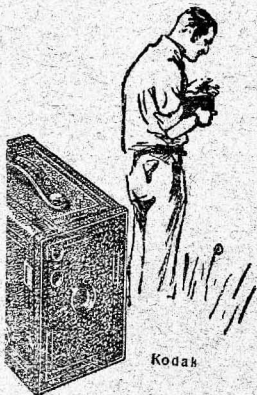
skład szkła

Platerów: Frageta, Norblina,
Hemeberga i innych.

Porcelany, Majoliki, Terliki
i t. p.

w **KALISZU,**

Marsz. Piłsudskiego 15, tel. 131.



Najtańszym podarunkiem zawsze
i dla każdego jest
aparat fotograficzny
z firmy

A. Banaszekwicz

KALISZ

Plac 11-go Listopada 14.

Na składzie zawsze wielki
wybór pierwszorzędnych aparatów
fotograficznych.

Płyty gramofonowe w wielkim wyborze po cenach zniżonych

Fabryka
biskoptów i pierników
K. Mystkowski
w Kaliszu
telefon № 407.

W dobie dzisiejszego kryzysu naszym S.O.S.
dla społeczeństwa kaliskiego jest niespoty-
kana dotychczas **zniżka cen.**

Cały Kalisz musi się przekonać
kupiwszy u

Bata

Niniejszem zawiadamiam Sz. Kliłentów, iż dluęoletni

Skład Futer i Pracownia Kuśnierska

zostały przeniesione z ul. Kanonickej 4, na Plac 11 Listopada 3
(róg Piskorzewskiej).

Skład zaopatrzony w wielki wybór **najnowszych**
modeli na sezon bieżący.

UWAGA! W pierwszych dniach otwarcia
ceny znacznie zniżone.

Polecając się łaskawym względom Sz. Klientów, proszę o
z poważaniem

Don. F. Rozenfeld
CH. ROZENFELD, tel. 322.